



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Lasy w różnych częściach świata.



iękność świata roślinnego objawia się zarówno w drobném ździebelku mchu, jak i w ogromném drzewie, nigdzie jednak nie występuje w takiej okazałości, jak w lesie. Ludy starożytne czcią bałwochwalczą otaczały lasy, uważały je za siedlisko różnych duchów i czarodziejskich istot, często też w czasach dawnych urządzano po lasach świątynie bóstwom pogańskim. Dziś za to

zwierza się ukrywało. My w naszym kraju nie możemy mieć nawet wyobrażenia o piękności i wspaniałości wielkich lasów.

Każda strefa, każdy klimat, ma drzewa sobie właściwe, a ztąd i postać lasu w różnych częściach świata bywa bardzo odmienna. Na dalekiej północy wszystkie drzewa są niskie, karłowate prawie, rosną tam po większej części drzewa iglaste, przez cały rok posępném swem liściem okryte. Zimą często spada śnieg tak obfity, że zagrzebuje las zupełnie, gdzieniegdzie tylko sterczy, jak krzaczek mały, wierzchołek wyższego nieco drzewa, a sanki zaprzężone w psy lub renifery, które latem nie zdołałyby przebrnąć wśród gęstwiny, suną wówczas wygodnie ponad zagrzebanym lasem. Igły sosen i świerków na północy mają barwę ciemną, błękitną, dalej ku południowi przybierają odcień żywszej wieloności, a drzewa są wyższe i okazalsze.

Nigdzie, na całej kuli ziemskiej, nie napotkano tak wspaniałych lasów iglastych, jak w Kalifornii, na stokach gór Sierra Nevada. Tam rosną między innymi słynne mamutowe drzewa, zaliczane do największych olbrzymów świata roślinnego. Wysokość ich dochodzi 130 metrów, a średnica pnia 10 metrów. Cyfry te nie mogą dać wyobrażenia o ogromie tych drzew, spróbujemy więc określić to za pomocą porównania. Każdy z nas widział wieżę kościelną, każdy zna z rysunku przynajmniej i opisu piramidy egipskiej. Najwyższa piramida ma blisko 150 metrów wysokości, przewyższają ją nieco wieże katedry kolońskiej; łatwo więc sobie wystawić, że wieża tak wysoka, jak owe drzewa kalifornijskie, byłaby do okazalszych zaliczona. Rozmiary pnia są także niepo-

widok lasów zamało wzbudza poszanowania, ludzie niszczą je bez miłosierdzia, już w Europie rzadko bardzo napotkać można te puszcze rozległe, w których niegdyś mnóstwo dzikiego

spolite, dość powiedzieć, że kora, zdjeta z niższej części takiego kłosa, mogła posłużyć do urządzenia letniego salonu w mieście San Francisco. Wnętrze jej pokryto kobiercami, ustawiono dokoła siedzenia, umieszczono fortepian i kilkanaście par tancerzy mogło wygodnie się poruszać w tej osobliszszej sali balowej. Drzewa mamutowe, w terminologii naukowej, *Sequoia gigantea*, nie tworzą jednak całych lasów, wyrastają zwykle pojedynczo, lub małemi gromadkami. Ale i inne drzewa iglaste, rosnące w górzystej Kalifornii, okazały mają rozmiary, a widok takiego lasu, w którym pnie wyniosłe, proste, jak słupy olbrzymie, stoją ścieśnionym szeregiem, nieopisane sprawia wrażenie.

Większy jednak urok mają lasy liściaste, gdy na wiosnę pokryją się świeżą zielonością. Bór sosnowy jest ponury i smętny, drzewa liściaste wyglądają weselęj, pełno w nich zawsze życia, szumu i gwaru. Ameryka północna posiada przepyszne lasy liściaste, rosną w nich prawie też same gatunki drzew, co i u nas, dęby, brzozy, topole, wiązy, klony, znacznie jednak okazalsze, zajmują przestrzenie rozległe, chociaż i tam, w pobliżu miast zwłaszcza, lasy ciągle się przerzedzają. Podróżnicy zachwycają się szczególnie jesienią barwą tych lasów amerykańskich. Liście wędną żółką, często też, nim uschną zupełnie, przechodzą przez różne odcienie purpurowe i brunatne, czasem żyłki zabarwiają się inaczej, lub na liściach zielonych rozsypią się plamki jaskrawe. Kwaciarki umieją te liście jesienne naśladować, gdyż wyglądają niekiedy bardzo ozdobiście. W Ameryce północnej oziębienie jesienne następuje szybko po letnich upałach, ztąd liście wędną nagle, a gra barw występuje przytęm z niezwykłą okazałością.

Strefa zwrotnikowa wszystkie inne przewyższa bogactwem roślinności. Cały szeroki pas ziemi po obu stronach równika pokryty jest bujnemi lasami, gdyż z nowszych odkryć okazało się, że nie brak ich także i w Afryce środkowej, którą dawniej mylnie wyobrażano sobie, jako spiekłą i nagą pustynią. Lasy zwrotnikowe odrębną mają postać, tam niema zimy, drzewa nigdy nie zamierają, nie оголаcają się ze swej zieloności, lecz za to przez rok cały, gdy wyrastają nowe liście, dawniejsze wędną i opadają na ziemię, która tym sposobem nieustannie pokryta jest grubą warstwą tych liści. Główną cechą lasów zwrotnikowych jest niezmierna ilość roślin wijących się, tak zwanych lian; giętkie ich, długie łodygi, wyrastają pasorzytnie na pniach drzew, pną się do góry, owijają je tysiącami splotami, duszą niekiedy w swych uściskach. I drzewa, i liany, rosnąc w tych lasach, mają po większej części piękne, jaskrawe kwiaty, wraz z liśćmi, spada tam ciągle na ziemię mnóstwo płatków kwiatowych różnobarwnych. W tych ustroniach cienistych, wilgotnych, przebywają po większej części owe prześlizne storczyki, u nas po cieplarniach hodowane. Korzenie ich zwykle czepiają się pni drzewnych, a łodygi rozpościerają w powietrzu, a roślina cała żyje tylko wilgocią, którą z niego wciąga. Niepodobna wyliczyć choćby tylko główniejszych gatunków drzew, z których się składają te niezmiernie lasy zwrotnikowe, największa różnaitość tam panuje, niejedno drzewko ozdobne, u nas w karłowatej postaci pielęgnowane w doniczkach, tam dosięga ogromnych rozmiarów, wznosi się do góry pień potężny, pokryty bujnemi splotami lian. Na wystawę paryską nadesłano z Brazylii około 400 okazów drewna do różnych robót stolarskich. Począwszy od ciemnych fladrów palisandru, były

tam wszystkie odcienie czerwonej i żółtej barwy, aż do białej, jak słoniowa kość.

W Afryce napotkać można ogromne lasy, z samych akacyi złożone. Nie są to jednak takie akacye, jak te, które u nas po ogrodach rosną, a które właściwie powinny nosić nazwę grochodrzewu; akacye afrykańskie należą także do rodziny strąkowych, mają liście drobne, pierzaste, gałęzie po większej części kolcami najeżone, drzewa te zbliżone są bardzo do czulków. (mimosa) Jedną z najosobliszszych jest akacya soffar, czyli drzewo dźwięczące. Wyobraźcie sobie las cały złożony z drzew, wydających dźwięki dziwne, przeciągłe, stłumione. Wygląda to na las zaczarowany, a jednak przyczyna zjawiska jest bardzo prosta. Mały owadek składa swoje jajka w nasadzie grubych cierni drzewa. Czy to powolne pęknięcie tej części, gdy nastąpi nabrzmienie, czy powiew wiatru, przeciskającego się przez otworki, które owad przewierca w cierniach, dość, że las rzeczywiście śpiewa, a przesądni krajowcy przypisują to duchom i czarom. Cierniste lasy akacyj są trudne bardzo do przebycia, trzeba sobie drogę torować wśród tych gąszczów, groźnemi kolcami najeżonych. Przewodnicy murzyni idą zwykle naprzód z dzidami w rękach, nacierają na cierniste gałęzie, jak na wroga, oblamując je z dzikiemi okrzykami. A nie tylko ciernie utrudniają drogę, tu także liany rozliczne oplatają drzewa giętkimi łodygami, a liście ich, zwykle większe, soczyste, pięknie odbijają od drobnego ulistnienia akacyi.

Najdziwaczniej wyglądają lasy australskie, rosną w nich także głównie akacye odrębnego rodzaju, odznaczające się szczególną budową liści; możnaby nawet powiedzieć, że liście właściwych nie mają wcale, zastępują je ogonki liściowe, rozszerzone i spłaszczone, a te nie rozkładają się poziomo, jak liście zwyczajne, lecz zwrócone są zawsze pionowo, jednym brzegiem do góry, drugim w dół. Łatwo zrozumieć, że w takim lesie cieniu prawie niema, sztywne, ogołoczone gałęzie sterczą nakształt szkieletoń, a i inne gatunki drzew wyglądają podobnie. Rzewnia, czyli kazuaryna, rosnąca obok tych akacyj, ma gałęzie zwieszane tak, jak u brzozy płaczącej, lecz zupełnie ogołoczone z liści i dziwacznie rozczłonkowane, jak łodygi skrzypów. Nawet zioła i trawy stosują się do tych drzew szczególnych, prawie wszystkie są sztywne i twarde. Wśród takiej roślinności, krajowcy australscy nie mogli sobie sporządzić łuków, gdyż brakło im do tego giętkich gałęzi, nie używają też tej broni, tak rozpowszechnionej u dzikich ludów, mają natomiast dzidy i maczugi.

Nie wyobrażajmy sobie, że las jest tylko ozdobą ziemi, że służy jedynie do upiększenia krajobrazu. Nie idzie nam teraz o rozliczne pożytki z drzewa, bo chcemy właśnie wytłumaczyć, jak ostrożnie, jak ogłędnie ciągnąć należy z lasu te pożytki, które prowadzą do wycinania i niszczenia drzew. Ze smutnego doświadczenia dowiedzieli się ludzie, ile szkoda wynikać z tego może. Wiele jest krajów, gdzie dawniejsza ziemia służyła z żyzności, bogate wydawała plony, dziś stała się nieurodzajną, rolnictwo, kwitnące niegdyś, upaść musiało zupełnie, a mieszkańcy doprowadzeni są do ubóstwa przez własną nieogłędność. Jakkolwiek niepojętym się to wyda na pozór, przyczyną tej zmiany jest wyniszczenie lasów. Państwa była za dawnych czasów krainą mlekiem i miodem płynącą, gdy obok łąk zboża i winnic rosły rozległe lasy, drzewa padły pod siekierą nieroztropnych mieszkańców i dziś też same grunta zamieniły się w jałową pustynią. Liczba

strumienie powysychały, posuchy panują prawie ustawicznie, a gdy spadnie deszcz ulewny, spływa gwałtowną powodzią. Toż samo prawie dzieje się w znacznej części Grecyi, w Hiszpanii, w Sycylii i wielu innych krajach, gdzie nieogłędnie powycinano lasy.

Drzewa, okryte obfitością liści, ogromny wpływ wywierają na klimat, szczególnie na ilość wilgoci w powietrzu, a tém samém na ilość spadających deszczów. Liście zawierają w sobie zawsze dużo wody, która w postaci pary uchodzi w powietrze, parowanie zaś wody sprowadza oziębienie, dlatego to zwykle w lesie bywa chłód przyjemny nawet w czasie upału. Gdy powietrze, nasycone parą wodną oziębi się nieco, para ta skrapla się, przybiera postać chmury i deszczem spada na ziemię. Jeśli natrafi na nagą skałę, spływa gwałtownym potokiem, sprawia zalewy i powodzie. Inaczej się dzieje tam, gdzie las rozległy ziemię pokrywa. Znaczna część kropel deszczowych zatrzymuje się na liściach, ścieka z nich powoli, przesiąka przez miękkie mchy i trawy w głąb ziemi i tam tworzy źródła, drobnymi strumykami wypływa znów na powierzchnię. Tym sposobem lasy zatrzymują przy sobie zawsze znaczną ilość wody, która krąży w ich pobliżu, unosi się w powietrzu, i deszczem spada na ziemię. Gdy lasów zabraknie, wiatry unoszą parę w inną stronę, a jeśli niekiedy spadnie deszcz obfity, nie wsiąka on w ziemię, nie użyźnia jej, nie podsyca źródeł i strumyków, lecz sprawia straszne powodzie, kłeskę przynosi zamiast dobrodziejstwa. I w naszym kraju uczuwać się już dają smutne skutki wyniszczenia lasów. W wielu okolicach powysychały drobniejsze strumyki, a wydmy piaszczyste unoszą się na gruntach, gdzie niegdyś rozległe lasy korzeniami drzew ten piasek utrzymywały. Jeszcze przed stu laty Wisła nasza daleko wspanialszém toczyła się korytem, dziś ubyło w niej wody, tylko na wiosnę i w jesieni, gdy spadną obfitsze deszcze, wylewa gwałtownie i straszne szkody wyrządza. Wielka to jest nieroztropność myśleć tylko o dniu dzisiejszym, o dzisiejszych potrzebach, a zapominać o przyszłości.

RANEK W GÓRACH.

Wyzłoczone słońcem szczyty,
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

* * *

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgłę perłowej,
Co w poranném oświeceniu
Mknie się zwolna przez parowy.

* * *

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęczka wiotka przedza,
Na krawędziach skał osiada.

* * *

A z pod siniej téj zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony
Taki jasny, wonny, świeży.

* * *

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i ziola
Balsamiczny zapach nosą.

* * *

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyłoconej swój koronie.

* * *

Góry wyszły, jak z kąpieli,
I swém łonem świecą czystém,
W granitowej świecą bieli,
W tém powietrzu przezroczyśtém.

* * *

Każdy zakręt, każdy załom,
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

* * *

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza —
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

* * *

Już źródół srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrzych głazach waczy...
Już się żywszy odbłask ślizga
Po jeziorok siniej tarczy

* * *

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szalasu
Dolatuja śpiewne echa...

* * *

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

* * *

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta —

* * *

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona, jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

El...y. (Adam Asnyk).

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Aż uszy zatkać musiałam, taki huczny śmiech, stał się po tój mojej odśpiewce, mały pan Michał Zborek przyskoczył w jednę chwilę i „odbił” mię panu Jaśkowi z Dębinki, a ja, pamiętając dobrze, że powinnam godzić ich ze sobą, tańcowałam co siły z panem Michałem tak samo, jak z panem Jaśkiem. A gdy kolęj na nas przyszła, pan Michał przyspiewał mi tak, przytupując:

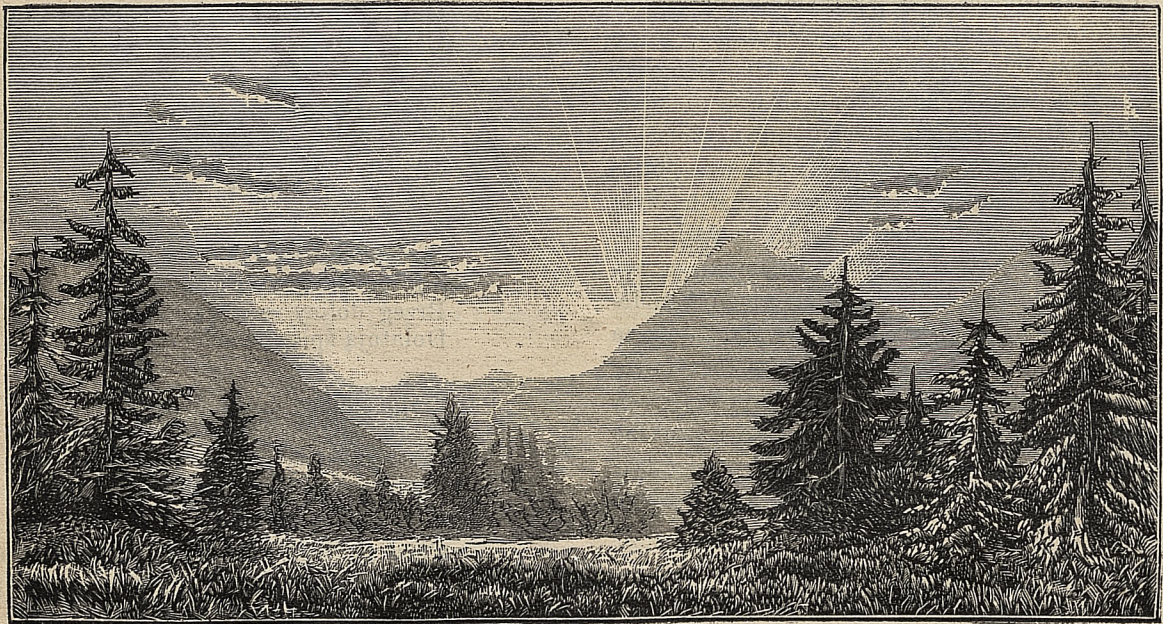
Lata orzeł górą, szczyty Karpat trąca,
Pływa rybka nisko, wody nie zamąca,
Na to orzeł orłem, żeby trącał skały,
Na to rybki żyją, by cicho pływały:
Od mądrój, bogatěj, od świetnėj z urody,
Milsza ta panienka co nie maćci wody!

Kiedy pan Michał śpiewał, to wszyscy uciszli się tak, jakby kto makiem zasiał, a potem śmiali się, lecz patrzyli na mnie, a mnie na to wszystko aż się gorąco zrobiło i taka złość mię zdjęła, że tylko co nie schwyciłam pana Michała za czuprynę, jak to mu się raz dawniej zdarzyło, gdy jeszcze mała byłam i dziecinną, ale teraz powstrzymałam się przecież, choć zła byłam okropnie, i bardzo słusznie. Bo najprzód naraził mię na to, że wszyscy uśmiali się ze mnie, zapewne dla tego, że tak niezdarnego miałam tancerza, który nawet przyspiewać jak należy nie umiał; a potem znalazł on się względem mnie w swojej przyspiewce niegrzecznie, a nawet po grubijańsku, gdyż dawał mi niezdarnie jakieś tam niby nauki, zamiast po-

wde zdaje mi się, że spory kawałek podrosłam, gdy pan z Góreczki, który przecież był już kawaler dorosły, co się zowie, i wąsy za uszy zakładał, tak mi zaśpiewał:

Lata sokół lata, koło okieneczka,
Bodaj sto lat żyła taka panieneczka;
Świeci słońce świeci, rosa błyszczy w cieniu,
Bodaj że nam rosta taka na kamieniu;
Naszych pól ozdoba, chluba ziemi naszěj,
Co się lada komu nie da połknąć w kaszy;
Co mi tam do orłów, do rybek czy żabek,
Dawajcie kielicha: Vivat panna z Grabek!

Podano czempredzėj kielich, pan Dezydery z Góreczki wychylił go, przykleknąwszy przedemną na jedno kolano, pięknie, po rycersku, a w koło stali inni starsi panowie i sam nasz pan Garbowski nawet, którzy wszyscy ani wiem, kiedy weszli, gdyż byłam zabardzo układaniem przyspiewek zajęta. Wszyscy klaskali w ręce, śmiali się i chwaili, że bardzo do-



Ranek w górach (str. 243).

wiedzieć jaki piękny komplement, że śpiewam jak słowiczek albo coś podobnego i na tém koniec, bo do dawania nauk pannom była tam pani Zbrożkowa. Miałam więc za co gniewać się na pana Michała, a jednak nie schwyciłam go za czuprynę, tylko przetańczyłam moją kolęj prawie nie wiedząc, jak tańczę, bo wszystkie myśli zajęte miałam tém, jakby to najlepiej odśpiewać i cała w rumieńcach, aż mię uszy paliły, ledwo doczekawszy właściwej chwili, tak odśpiewałam:

Szumi orzeł skrzydłem, jako rycerz szybki,
Cichną z uwielbienia panienki i rybki;
Leci orzeł leci, szczyty gór przemierza,
Grzeczność dla pici słaběj jest cechą rycerza;
Orzeł jest orłociem, nawet gdy malutki,
Nad szczytami Karpat nie latają dudki!

Na tę śpiewkę nastąpiła taka wrzawa, taki śmiech, że trudno było prawie zmiarkować, co się dzieje, a w tem przyskoczył pan Dezydery z Góreczki i odbił mię panu Michałowi Zborkowi, który zwiesiwszy uszy poszedł pod piec, jak niepyszny, a my tańczyli do upadłego, ja aż rosłam i nawet napra-

brze robię, nie dając pysznym paniczykom nad sobą przewodzić. Pan Dezydery z Góreczki, co założył wąsy za uszy, to dalej tańczył, bo był tancerz zawołany, a i ja też taką byłam tancerką, i śpiewaliśmy jeszcze, ale ktoby tam to wszystko spamiętał. Królewicz Zygmunt, czy tam margrabia, czy rycerz z Luksemburga, wyszedł mi zupełnie z pamięci, tak że dopiero nazajutrz, przebudziwszy się w łóżeczku w dużym naszym panieńskim pokoju, przypomniałam sobie o margrabi. Zerwałam się w jednej chwili bo punktualność utrzymywała wśród nas pani Zbrożkowa jak jaki kogut, więc czy tam która wczoraj tańczyła czy nie, choćby się najbardziej zmęczyła, to sama z siebie budziła się o zwykłej godzinie i zrywała do swego zatrudnienia.

VI.

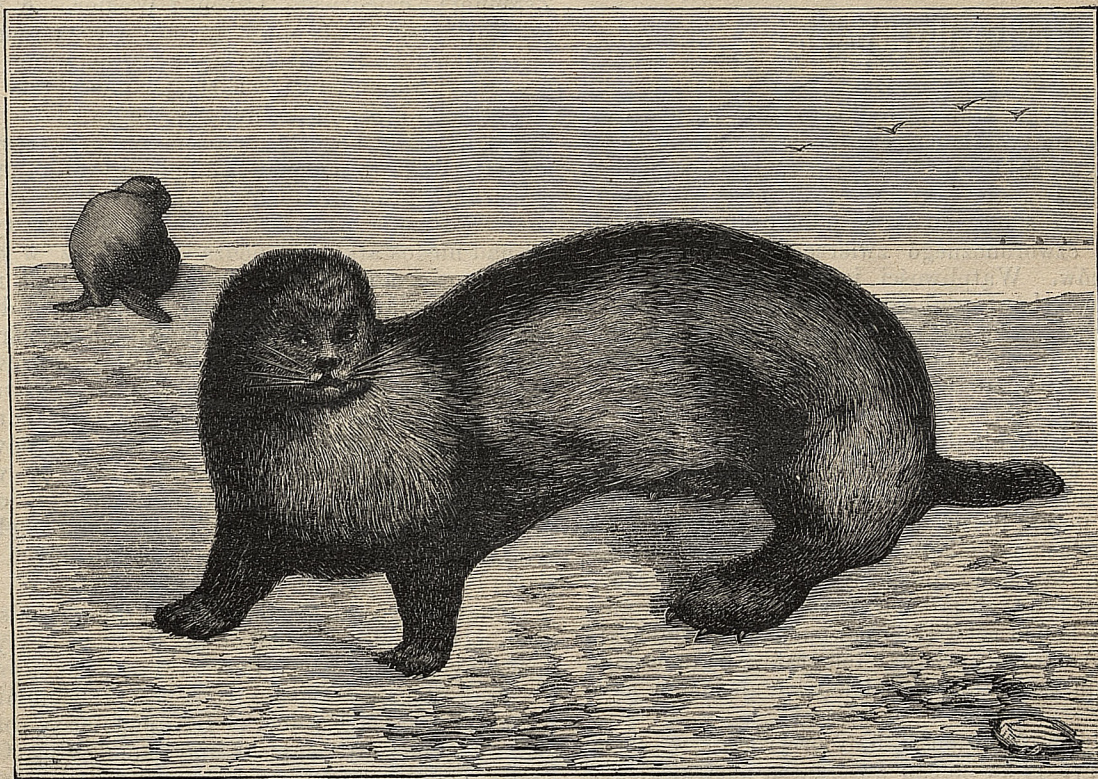
Panieńskie gospodarstwo.

Wstałam tedy natychmiast, ubrałam się prędko przy bardzo małej pomocy i pobiegłam żwawo do małej komnaty, gdzie państwo mieli jeść śniadanie. Bo taki był i jest zwyczaj

na Garbowskiem dworze, że wszyscy za przykładem pańskim bardzo rano wstając, nie schodzą się razem na pierwszy posiłek, tylko panowie u siebie, panny u siebie co gorącego z samego rana dostają, bo i latem nawet chłodnawo bywa wczesnym rankiem i na rosę niedobrze jest na czczo wychodzić. Więc i państwo osobno w komnacie swój wówczas też dostawali śniadanie, a tak się im podobało, żeby zawsze najmłodsza z pańienek dworskich tam się koło nich zajmowała, nie wiem czemu, może dla tego, że córeczki nie mieli a na dziewczątka lubili patrzeć.

Ubrawszy się tedy pięknie, jak codzień, pobiegłam co żywo do pańskiej komnaty. Przy drzwiach czekał już na mnie stary Kurek z dużą tacą pełną różnych garncezków i wszystkiego, co mi do śniadania było potrzeba. Pani, wstawszy tyl-

jak złoto śmietaną w inny garncezek i ubiwszy ją łyżką należycie, dosypawszy wymierzoną ilość soli, gdy piwo wrzeć zaczęła, zaprawiłam to piwo śmietaną, w czém jest pewna sztuka, jakkolwiek małą to się rzeczą wydaje, bo jak kto dokładnie rzeczy tej z gruntu nie umie, to będzie dziesięć razy piwo zaprawiał i zawsze mu się śmietana zwarzy, a mnie się nie zwarzyła! Potém, wzięwszy z nad kominka z malutkiej półeczki śliczne dwa garneczki, stojące tam jeden w drugim, a wyższy miał dno dziurkowane, aby przezeń przeciekła serwatka, zdjęłam z tego wyższego pokrykę i pokazał się w garneczku prześliczny, delikatny serek, niby to twarożek, ale wybornego smaku, bo niezmiernie tajemniczą sztuką zrobiony, którą sama panna Petronela wymyśliła i mnie wyuczyła. Zatem ten twarożek łyżką małą biorąc, kładłam w dwa szerokie,



rouytha

Dziobak australijski (str. 246).

Wydra morska Sybirska

ko co od modlitwy, siedziała w krześle, jeszcze cała pobożnie myślami zajęta, a była już ubrana, bo starsze panny tam u niej były przedemną. Pan też zaraz wszedł ze swój komnatki i siadali na zwykłych miejscach, Kurek nakrywał, a ja zajęłam się śniadaniem wedle wszelkiego porządku, jakiego w tym razie wyuczyła mię panna Petronola.

Więc najprzód z dzbana na tacy nalawszy do pięknego garneczka czyściuteńkiego, jasnego piwa, przystawiłam je do ognia, a ogień malutki, małemi drewnkami podsycany, palił się w tej komnacie i pali zawsze, ot tak jak i w naszej tutaj, dla zapachu i dla jasności, ale nie na takim jak nasz, zwyczajnym kominie, tylko na ślicznym, maluteńkim, a białym, jak do zabawki dla pańienek. Bo też istotnie zabawkę sobie z tego państwo nasi robili, gdy mała pańienka dworska gospodarowała przy tym kominku, i naumyślnie tak go urządzić kazali, aby i malutka mogła dać sobie z nim radę. Jakoż i dawałam sobie radę, gdy mię panna Petronela raz tego wyuczyła. Dając baczenie na piwo, aby nie wykypiało gdy ono się grzało, ja tymczasem z dwóch garncezków szerokich, stojących na tacy pełnych doskonałego mleka, zbierałam żółta

duże kubki przepięknej roboty, i nalawszy je wręcem piwem ze śmietaną, podałam państwu to śniadanie.

Gdy oni doń się zabierali, a mieszały i dmuchali, ja tymczasem z malutkiego bochenka na tacy ukroiłam dwa spore kawałki bielutkiego chleba, posmarowałam świeżem masłem i na ładnym talerzu postawiłam przed państwem. Tedy oni jedli, bo to już całe było śniadanie, i ja, nalawszy sobie w mały kubeczek, i siadłszy u nóg pańienki, która mię wychowała, piłam i jadłam także, ale nie dużo piwa używałam, bo dla mnie małej było za mocne. Potém jeszcze zawsze na dzień następny przyrządzałam ów serek do piwa z tego mleka, z którego część śmietany wprzód do piwa zebrałam. Mleko to trzeba było sztucznym sposobem przy ogniu ogrzać, aby się uwarzyło natychmiast, chociaż jeszcze nie było zsiadłe, następnie, domieszawszy tego i owego, wedle sekretu pańienki Petroneli, wkładałam to zgęstniałe mleko do owego garneczka z dziurkowanym dnem, i wstawiałam w drugi spodni garnek na to zrobiony, aby węń serwatka ściekała, i tak to nakrywszy, stawałam na półce nad kominkiem na jutrzejsze użycie. Ale wprzód naczynia te pięknie myłam po wczorajszym serze, a

to w ślicznej na to przeznaczonj stągiewce malutki, która tam zawsze stała obok kominka na ławeczce i do dzisiaj stoi dla innj małej gosposi. Otóż, gdy ja się tēm wszystkiem zajmowałam, państwo tymczasem rozmawiali przy śniadaniu; zrazu nie słyzałam, o czēm była mowa, gdyż zanadto swoją robotą byłam zajęta, ale nareszcie zwróciły moją uwagę te słowa samego pana:

— Wiedziałem ja dawno, moja jejmość, że masz głowę nie tylko dla pięknej proporcey i nieraz przekonywałem się o tēm dowodnie; nigdy jednakże nie zdarzyła mi się ku temu tak ważna sposobność, jak wczoraj! A toż, moja jejmość, nie niewieści, lecz nielada męzki i kunktatorski rozum pokazałaś, nakazawszy panu Jaškowi z Dębinki, aby poswarzywszy dzieci, narobił harmideru, i tēm ogólną uwagę od zbyt wielmożnego na nasze progi gościa odwrócić.

(d. c. n.)

DZIOBAK AUSTRALSKI.

Przy końcu zeszłego stulecia odkryto w Australii osobliwsze zwierzątko, na rycinie naszej przedstawiono. Gdy po raz pierwszy przywiózł ktoś do Europy wypchanego dziobaka, nie chciano wierzyć, aby taki dziwotwór mógł istnieć naprawdę, wyobrażano sobie, że oszust jakiś przyczepił dziob ptasi do pyszczaka czworonożnego zwierzęcia i wyprowadził w pole przyrodników. Wątpliwości jednak wkrótce ustały, gdyż wielu Europejczyków, zamieszkałych w Australii, mogło na własne oczy oglądać dziobaka; jest to zwierzątko ziemnowodne, nieduże, ukrywa się w norach podziemnych na wybrzeżach strumieni, żywi się mięczakami i innymi wodnymi stworzeniami.

Uwierzywszy w istnienie dziobaka, przez czas długi nie chciano znów dać wiary, aby zwierzę czworonożne, sierścią okryte, mogło znosić jajka, jak twierdzili krajowcy i osadnicy australsey. Lecz uczeni ludzie uważali to za bajkę, znajdowano też nieraz malutkie dziobaki i przekonano się, że matka karmi je mlekiem, tak samo, jak wszystkie zwierzęta ssące. Nie wspomiano też o tych jajkach w żadnej zoologii, gdy niespodzianie przy końcu roku 1884 pewien uczoney angielski, przebywający w Australii, przesłał telegrafem podmorskim wiadomość do kraju, że znalazł jaja dziobaka, złożone w jego norze.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, inny przyrodnik w tymże samym czasie odkrył jajka innego zwierzątka australskiego, zwanego kolczatką, zbliżonego bardzo do dziobaka. Kolczatka nie ma dzioba, tylko pyszczek wydłużony, ryjkowaty, bez zębów, zaliczana bywała do mrówkojadów, gdyż żywi się mrówkami, a także i do workowatych, bo nosi swoje małe w woreczku podbrzusznym, tak jak kangury.

Dalsze badania wykazały, że tak dziobak, jak i kolczatka, po wykluciu małych z jaj, karmią je mlekiem, mogą więc w każdym razie być uważane za zwierzęta ssące. Dziobak jajką swoje składa w głębi nory, wysłanej zwykle mchem i trawą, kolczatka nosi je w torbie, w której następnie i małe się sadowią. Nazwa naukowa dziobaka jest *Ornithorhynchus paradoxus*, a kolczatki *Echidna hystrix*.

Matka Ś-go Kazimierza.

Niewiasty dawnych czasów, nawet takie, które stały u szczytu ziemskiej wielkości, nie miały zwyczaju występować na widownią świata, w cichości pełniły obowiązki swoje, z cnót i zasług nie szukając chwały; snadniej daleko złość niewieścia doczekała się rozgłosu. Taka smutna sława przypadła naprzykład królowej Bonie, małżonce Zygmunta Staroego, o wiele mniej znaną jest matka tego króla, matka sze-

ściu znamienitych Jagiellonów, a pomiędzy nimi w poczet świętych policzonego Kazimierza. Jednakże była to matrona niepospolitego rozumu, wielce cnotliwa i pobożna, ona kierowała wychowaniem synów, a jeśli wszyscy ci królewicze nasi zasłynęli nietylko w własnej ojczyźnie, lecz i w obcych krajach i stali się później chlubą narodu, jęj to się głównie należało. Gdy Władysław Jagiellończyk obrany był królem czeskim, posłowie polscy tak o nim mówili panom czeskim: „Nie od kogo innego, jeno od matki świętobliwej, wyszał Władysław wraz z pokarmem macierzyńskim bojaźń Bożą, religijność, miłosierność i ludzkość”. Marcin Kromer, dziejopis króla Zygmunta Staroego, na pogrzebie tego monarchy powiada: „Nie komu innemu, jeno najzacniejszej i najpobożniejszej z matek zawdzięczał król nieboszczyk i reszta jego braci swoje święte i mądre od najmłodszych lat wychowanie”.

Królowa Elżbieta, małżonka Kazimierza Jagiellończyka, była księżniczką rakuzką, córka cesarza Albrechta II, króla czeskiego i węgierskiego, i Elżbiety jedynaczki cesarza Zygmunta, dziedziczki Czech i Węgier. A jednak dziecię tak dostojnego domu nie wzrastało w rozkoszach i zbytkach, lecz od kolebki zapoznało się z sieroctwem, opuszczeniem, a nawet niedostatkiem. Elżbieta miała trzy lata zaledwie, gdy straciła ojca, matka umarła we dwa lata później, dwoje drobnych sierot pozostało na opiece stryja, cesarza Fryderyka III. Jaka to musiała być opieka, o tēm najlepiej świadczy ustęp z kroniki współczesnej, w którym czytamy, że lud cały, serdecznie przywiązany do pamięci ojca tych dzieci, bolał nad niedostatkiem i nędzą sierot; aż w końcu w czasie nieobecności cesarza zebrała się walna rada mieszczaństwa pod przewodnictwem dawnego marszałka dworu cesarza Albrechta, Ulyryka i postanowiono obmyśleć środki ratunku. Ażeby litość obecnych obudzić, Ulyryk wprowadził pośród zgromadzenia małą Elżbietę i ukazując ją, zawołał: „Patrzcie na tę dziewicę dostojną, patrzcie i przekonajcie się, jak o nią dbają! Jestże jaka mieszcza, nie mówię już w tęt stolicy, lecz w najlichszej mieścinie, któraby w takim stroju wyszła na miasto? Odzież na nięj podarta, obuwie dziurawe, ledwie że głodu nie cierpi”. Dziecię rozplakało się rzewnie i wśród łkania błagało zgromadzonych o pomoc dla siebie i młodszego brata.

Pomimo to jednakże nie brakło królewskim sierotom światłych nauczycieli, a młodzianka Elżbieta korzystała z nauk, udzielanych bratu jęj Władysławowi, późniejszemu królowi Czech i Węgier. Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, ówczesny sekretarz cesarza Fryderyka III, późniejszy papież Pius II, mał wielce uczoney, napisał umyślnie dzieło „O wychowaniu dzieci” poświęcone owemu królewiczowi Władysławowi, bratu Elżbiety. Mądre rady i przepisy, zawarte w tęt księdze, przechowały się w pamięci młodocianej księżniczki i później przewodniczyły wychowaniu królewiczów polskich.

Córki królewskie w tych czasach wcześniej zazwyczaj wydawano za mąż, to też kronikarz współczesny z politowaniem pisze o Elżbiecie, że „miała już rok piętnasty, a jeszcze nie wydano jęj za mąż”. Dzieckiem jeszcze, wedle ówczesnego zwyczaju zaręczona była księciu saskiemu, lecz śmierć narzeczzonego rozerwała ten związek. Polski królewicz Kazimierz, syn Władysława Jagielly, jeszcze za życia jęj ojca, gdy była niemowlęciem, ubiegał się o jęj rękę, lecz mu odmówiono, powtórna prośba przyjęta została i młodzianka narzeczona w r. 1454 przybyła do Krakowa. Przytaczamy tu ustępy z opisu Szajnochy:

„Uroczystości przy wjeździe królowny do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem liczą się do najwystawniejszych obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzejdniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniej dwa tysiące koni, powitało oblubienicę przed granicami państwa, w Cieszynie. Przed stolicą krakowską spotkała ją z całym dworem sam król Kazimierz, młody, ledwo 26 letni męczyzna, przyjemnej twarzy, wesolego wejrzenia, błyszczącej od złota i klejnotów. Obok króla, w bogato przyozdobionej kolebce, jechała matka Kazimierzowa, sędziwa królowa Zofia. Za nimi ciągnęli dostojnym rzędem arcybiskupi, bi-

skupi, książęta szlasy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjeły wjeżdżających procesy wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiący odgłos dzwonów i trąb. Tak król jak i panowie wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów końskich. Rząd samego rumaka królewskiego ceniono na 40,000 złotych. Podobnie i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity i złotogłowy. Młoda królowa mogła mniemać, że wjeżdża do krainy złotych gór. A to tylko chęć uczczenia jej przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich”.

„Nazajutrz przy ślubie w kościele katedralnym przyjazne młodej parze współubieganie się o zaszczyt dopełnienia obrzędu wywołało pomiędzy dostojnikami kościoła spór: kto ma ślub dawać. Pierwsze do tego prawo przysznawał sobie kardynał i biskup krakowski Zbigniew, jako gospodarz miejsc. Wyższe odeń prawo rościł sobie arcybiskup gnieźnieński, jako prymas królestwa. Prawem rozjemcy i pośrednika chciał zaślubić oblubieńców świątobliwy mąż, Jan Kapistran*), którego cudotwórcza od kilku miesięcy misya kaznodziejska w Krakowie i obecność przy tym akcie zaślubin stała im za najpiękniejszą ozdobę. Zgodzono się na wniosek rozjemny, lecz gdy nieznamość polskiego i niemieckiego języka nie dozwoliła świętemu mężowi dokończyć rozpoczętego obrzędu, wyreczył go w daniu ślubu kardynał, a prymas namaścił i ukoronował królową. Przez cały tydzień trwały te gody weselne, odprawiano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach liczny orszak węgierskich i czeskich panów i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczysto i hojnie od króla polskiego obdarzony, wrócił nad Dunaj”.

Królowa Elżbieta, zasiadłszy na tronie polskim, pozyskała wkrótce miłość i cześć narodu, wszyscy współcześni wielbili jej cnoty, nazywają ją „świętą”, a zasłużyła na to życiem bogobojnym, świątobliwością, czynami miłosierdzia. Szczególnie miała nabożeństwo do Ś-go Franciszka, sama nawet przyjęła dostępny dla osób świeckich stopień terecyarki reguły tego świętego, pod jej opieką powstało w Polsce przeszło dwadzieścia klasztorów franciszkańskich i bernardyńskich, a założyła też miłosierna ta pani niejedyn szpital dla ubóstwa.

Wynagrodził jej Bóg troski dzieciństwa, pobłogosławił szczęściem domowem, obdarzył licznem potomstwem, które pociechą i chlubą napełniło serce macierzyńskie. Dożyła sędziwej starości, widziała synów swych na tronie, miłowanych i wielbionych, a jak w dzieciństwie ich czuwała nad nimi troskliwie, tak i później wspierała mężów dojrzałych światłemi radami, których oni z poszanowaniem słuchali. Gdy po zgonie Olbrachta, Aleksander chciał orężem koronę zdobywać, matka powstrzymała go od tego i zażegnała wojnę domową. Umiała też królowa Elżbieta cenić te łaski, które jej Bóg obyspał, oto co pisała do syna swego Władysława, króla czeskiego i węgierskiego: „Jakoż, co także do szczęścia mego policzyć trzeba, blisko osmdziesięciu lat już dochodząc, a do dnia dzisiejszego najczerstwiejszych i w niczem nienadwątlnych używając zmysłów, jestem od całego świata poczytywana za szczęśliwą, sławiona jako taka... Wybaczysz, sądzę, tej wzmiance o samej sobie. Starzy ludzie, jak wiesz, chętnie powtarzają swą chwałę, zwłaszcza w obec dzieci, które mają być naśladowcami ich cnoty”.

Jest to ustęp z długiego pisma, w którym sędziwa pani nakreśliła cały plan wychowania dla wnuka; a słusznie twierdziła we wstępie, że wypiautowawszy i wychowawszy na chwałę Bożą sześciu synów i tyleż córek, mając tyle doświadczenia, nikt lepiej od niej „nie zbadał nauki wychowania królewskiego”. Pismo to w oryginale przechowane jest w bibliotece cesarskiej w Wiedniu, a w wiernym odpisie znajduje się

* Jan Kapistran Włoch, później kanonizowany jako święty, słynny kaznodzieja, obecnym był wówczas w Krakowie, zasiadał przy naradach posłów, którzy spisywali umowę przedślubną w Krakowie, i po ukończeniu błogosławieństwa swego udzielił królowi.

w Zakładzie Ossolińskich we Lwowie. Jest ono najworniejszym dowodem, że królowa Elżbieta była niewiastą wyższego umysłu i w sprawach wychowania, tak dzieci jak wnuków, zabierała zawsze głos stanowczy. Wyliczając cnoty i przymioty, królom właściwe, za najważniejszą z nich świątobliwa ta pani uważa „ludzkość” i tak pisze o tém: „Jakoż mam-li otwarcie z tobą mówić, więcej dotąd sławy odniosł ród nasz z ludzkości, niż z czynów znamienitych”.

Potem przytacza przykłady godne naśladowania z życia małżonka swego i synów. Przedewszystkiem wielbi ona ich hojność, szczodrobliwosć, łaskawosć, za zasługę wielką poczytuje, iż tak ojciec jak i synowie wysoko cenili naukę, a uczonych ludzi na swoim dworze otaczali poszanowaniem. Król Kazimierz mawiał synom, że dwóch mają ojców, z których jeden dał im życie, a drugi umysł rozwinął. Tym drugim ojcem ich był Długosz. Przykład idzie z góry, naród cały poczał w tém naśladować rodzinę królewską, z zapalem garnęła się młodzież do nauki, szkoły były przepełnione, wkrótce też błogie ztąd dla kraju wypłynęły owoce, wzrastał zastęp mężów uczonych, zakwitło piśmiennictwo polskie, a czasy panowania Zygmunta, syna Kazimierza i Elżbiety, otrzymały chlubną nazwę złotego wieku mowy naszej. Matka Jagiellonów, której piękną postać przedstawiliśmy czytelnikom naszym w tym krótkim zarysie, nie mało się do tego wszystkiego przyczyniła, zasłużyła też na wdzięczną pamięć narodu.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA
w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

— Przez Laponią do Warangen-fiordu? a to którą? — zapytali go wszyscy, nie wyjmując pana Stern-Biorda i ojca. On, zamiast odpowiedzieć, machnął lekko kijem na obie strony, i zaraz otaczający rozsunęli się nieco, a on zaczął kijem uważnie rysować mapę na piasku nadbrzeżnym gdzieś się znajdowali. Była to na prawdę mapa praktyczna. Narysował najprzód spory łuk, w jednym jego końcu zrobił znak i powiedział: to jest Pitea; a potem w środku zrobił drugi znak i powiedział: to jest Tornea!

I odrazu zrozumieliśmy wszyscy położenie jego mapy geograficznej. Patrzyliśmy ciekawie, widząc, że on wie co robi, a on tymczasem od owiej Tornei w górę na północ pociągnął linią trochę krętą, i już każdy wiedział, że to będą rzeki Tornea i Muonio, stanowiące granicę od rosyjskich posiadłości. Ale w górze rysownik przerwał tę linię z konieczności u źródeł rzeki i zakreśliwszy kilka lekkich, fantastycznych rysów, zaczął uważnie odznaczać na piasku nową, bardziej krętą linię, którą po chwili zakończywszy nowym łukiem, rzekł:

— A to jest rzeka Tana i Woranger-fiord... a to jest Watsoë nad Warenger-fiordem! — dodał, uderzając ostatecznie kijem o ziemię.

— On tam był! on to wie! Hans-John zna się na rzeczy! — takie słowa odezwały się ze wszystkich stron. Hans-John spojrzawszy tryumfująco po obecnych i mówił dalej, wodząc kijem swym po drodze, którą rysował *).

— Tędy oto Tornea popłyniemy w górę rzeki, potem na wschód trochę Muonia, która do Tornei wpada, a potem przez górki dostaniemy się do źródeł Karasjokke, i już z wodą, jak na grzbiecie najdoskonalszego renifera, wpadniemy do Tany, a Tana zaniesie nas do Gulielmy, a z Gulielmy trzy kroki do Waranger-fiordu, i oto jesteśmy w Wadsöe!

*) Aby zrozumieć tę drogę należy obejrzeć na mapie.

— Wybornie! — krzyknął pan Stern-Biord — jeszcze nie słyshałem, żeby tą drogą kto się przez górki przebierał! Tak trzeba iść!

— A więc tak trzeba iść — żwawo powtórzył ojciec — to daleko lepiej, bo wrócimy przez Atlantyk, opływając wybrzeża północne raz tylko, gdy tymczasem, dostawszy się teraz na Atlantyk, musielibyśmy tam i napowrót tą samą drogą przebywać!

— Przepraszam! — zawołałem — tu na tej mapie jest coś niedobrego, tu za blisko siebie są źródła przyływów Tornei, Tany i Karasjokke! na naszych mapach w domu jest w tym miejscu przestrzeń większa, a cóż będzie, gdy wpadniemy tam w niezamieszkałe i nieznane obszary?

— Ej ej! — rzekł Hans-John, kręcąc lekko głową i przypatrując mi się żartobliwie — zabraknie podobno porządnym podróżnikom wkrótce, gdy młode pokolenie chce naprzód przemierzać drogę, którą ma iść!

Zawstydzilem się okropnie za swoją niewczesną ostrożność, bo wszyscy zdawali się ufać Hans-Johnowi, a ja jeden wyrwałem się z mojami uwagami najniepotrzebniej, tembardziej, że takie uwagi trąciły cokolwiek teńhorzostwem.

Ojciec i pan Stern-Biord prędko ułożyli się z Hans-Johnem. Zabieraliśmy z sobą bardzo małe jak mniemałem pakunki, gdyż nieledwie tylko to, co na nas, ponieważ pan Stern-Biord doświadczonym jest podróżnikiem i żył się na kłopoty z pakunkami. Nie braliśmy żadnych futer, choć to dziwnem mi się zdawało, jadąc do Laponii. Braliśmy jednak ciepłe kołdry i mały namiot, i to jak sądziłem był cały pakunek. Odziani byliśmy w ciepłe odzienie wełniane pod sukienem, i w zimowe palta, mieliśmy też i lekkie water-proofy, co wszystko mogło być na nas, aby zabierać jak najmniej. A jednak osłupiałem na widok ogromnych pakunków w ostatniej chwili wyruszenia w drogę. Były to zapasy żywności skoncentrowanych i przyrządzonych do natychmiastowego użycia; między innemi, dużo kawy już przyrządzonej do gotowania i w mocno stłoczonych paczkach. Przewodnik nasz kilka razy przypominał o tej kawie, bo to jest nektar ulubiony, żywność, i lekarstwo Lapończyków. Ale pan Stern-Biord odrazu uprzedził ojca aby wziął ją koniecznie w pierwotnej postaci, acz już sproszkowaną, bo ci ludzie nie uznają żadnych ekstraktów, w moc ich nie wierzą, i uważają tylko wtedy czarną kawę za prawdziwy nektar, gdy ją sami ugotują, dodawszy doń przy tajemniczym szeptaniu kawałek skórki lub sera reniferowego.

po umyślnie skróconem z obu stron pożegnaniu z biedną matką, po ostrożnem ucałowaniu śpiących siostrzyczek, wsiedliśmy na statek i stanęli pod noc w Haparandzie, pięknym porcie w głębi i na ostatecznym krańcu północnym zatoki Botnickiej. Towarzystwo nasze podróżne składało się z kilku Anglików, kilku Francuzów, jednego Włocha, i kilku pań wykwintnych, które nie wiem do jakiej narodowości zaliczyć, bo mówiły niezłe różnemi językami, a ja jak widać nie dobrze znam się na tych „okazach” zwanych niewiastami, jak mówił kapitan statku, na którym przybyłem ze Stockholmu. Teraz nie było nawet czasu zapoznać się z nowym kapitanem. Towarzysze nasi odrazu jednym z mniejszych statków, które tam kursują bezustannie, udali się na rosyjską stronę, na wyspę Swensari, do miasta Tornei, leżącego przy ujściu rzeki tegoż nazwiska. Ta Tornea niema podobno ani tysiąca mieszkańców, bo tu wszędzie tak nieładno, ale mimo to jest to port najważniejszy w tych stronach i główna droga handlowa do Laponii.

Nasi towarzysze podróży śpieszą na górę Afwasaksa, aby przypatrzeć się słońcu, które w tej porze roku nie zachodzi wcale, nawet o północy. Hans-John powiada, że tych „myśliwców słonecznych” są tu co rok takie chmary, aż ciasno, a to mniej więcej przez tydzień, od połowy Czerwca zaczawszy. Ja ani pomyślałem o słońcu, choć ciągle o tém nakoło mnie rozmawiano. Widziałem już nieraz to słońce niezachodzące i wedle obrachunku ojca, cała nasza podróż miała odbyć się w ciągu takiego jednego dnia, jaki panuje w Laponii najpółnocniejszej przez ciąg trzech miesięcy blisko, i stanowi tam lato; ale my daleko krócej zabawić zamierzamy. Zmęczony też byłem trochę, i bardzo zajęty przysłą dalszą podróżą, a więc... zasnąłem, jak kamień, w wyższej Tornei, na szwedzkiej stronie, na wprost owej góry Afwaksy. Obudzony się, żałowałem, że nie przyjrzałem się niczemu, co przecież jest obowiązkiem podróżnika, ale już było zapóźno i jak ojciec mówi po polsku: co z woza spadło, to przepadło. Cztery waziatki łódki lapońskie czekały nas na falach Tornei; na każdej łódce stało z wiosłami w rękach dwóch ludzi, dobranych przez Hans-Johna, każda łódka wysłana była skórami reniferów, i pakunki nasze były w nich umiejętnie rozłożone, z uwzględnieniem wagi i wiosłarzy i naszej. Ojciec siadł do jednej łódki, ja do drugiej, pakunki były w trzeciej i czwartej, popłynęliśmy w górę rzeki daleko prędzej, niż mi się wprzód wydawało możliwem, gdy się przeciw wodzie płynie. Doznawałem dziwnego uczucia; zdawało mi się koniecznie, że Hans-John ogląda się czegoś, że unika ludzi, że wyruszamy w drogę z niezmiernym pośpiechem i jakby ukradkiem. Duże pakunki w łódkach zdawały mi się teraz jeszcze większe, i powiedziałem to moim wiosłarzom:

— A żywność dla nas ośmiu, zjadł wzięlibyśmy w polach, gdybyśmy nie brali jej z sobą? — odpowiedzieli.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Szczebiotki dla Jaskółki z nad Bugu).

*Pierwsze drugie obsiane miłe oku w lecie,
Drugie wspaniałe litera, w wojsku pierwsze trzecie.
Wszystkie, chociaż zazwyczaj widok zasłaniają,
Jednak nam przez to samo usługę oddają.*

Tajemnicza zgłoska (J. P.).

Seret—rok—pola—mata—sok—osa—bura—tło—mara
—ara—Omar—masa—rowy—czasza—rój—łanie—rasa—
pała—rata—mora—lin—wyruc. — Wynaleść głoskę, która
dodana do każdego z tych wyrazów zmieni zupełnie ich znaczenie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Zagadki:

Ma — ry — la.

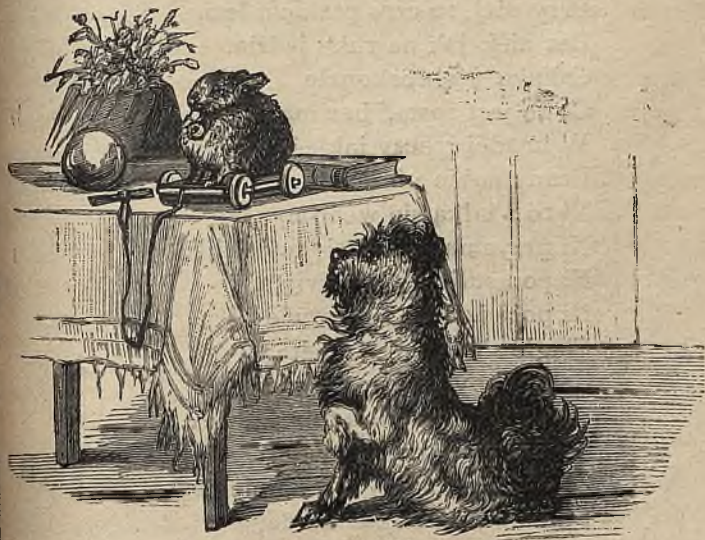
Łamigłówki zgłoskowej:

Zaraz — Ciotka — Zell — Sanie — Es — Indyk — Witwicki
Zaleski — wieszcz.

TREŚĆ: Lasy w różnych częściach świata. — Ranek w górach, wierszyk p. El...y. (Adama Asnyka) z drzew. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a. (c. d.) — Dziobak australski (z drzew.) — Matka Ś-go Kazimierza. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. — W Dodatku: Historia o grzecznym Władziu zazdrosnym Milusiu i wypchanym króliku. — Pamięć o mamie wierszyk Gabrieli Puzyrny. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przepłataną. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.

Historya o grzecznym Władziu, zazdrosnym Milusiu i wypchanym króliku.

Władzio był bardzo grzecznym i miłym chłopczykiem, wychowany w Warszawie wsi nie znał wcale; dopiero gdy skończył cztery lata rodzice wyjechali z nim po raz pierwszy do cici, która mieszkała przy nadwiślańskiej



Wątpliwość.

kolei. Władzio uradował się niezmiernie zobaczywszy pola zasiane zbożem; wśród żółtych kłosów ślicznie odbijały czerwone maczki i szafirowe bławatki. A cóż to była za uciecha gdy mu powiedziano, że kwiatków tych zerwać może ile zechce! Porobił z nich zaraz bukietki dla siostrzyczek, bo Władzio dobrym był braciszkiem.

Z początku po całych dniach biegał po łąkach żyta i pszenicy tak, że piastunka jego Jesionowska nadążyć za nim nie mogła i rada była niezmiernie gdy powracali do domu na obiad. Po południu nacieszywszy się już kwiatami i zbożem, Władzio bawił się w ogrodzie. Plił, kopał, sadił, a w końcu biegał po cienistych grabowych szpalerach goniąc się z Milusiem, ślicznym popielatym pińczerkiem którego mu podarował wujaszek. Zachodził też często na folwark gdzie były czubate kokoszki, białe gołąbki z koralowemi dziobkami, małe gąski i kacząta żółte jak kanarki. Władzio bardzo się lubił przyglądać gdy pływały po sadzawce, ale stał zawsze z daleka bo Jesionowska niepozwalala mu się zbliżać do wody z obawy, żeby nie wpadł i nie utonął. Najlepiej lubiła gdy się bawił z królikami w izbie czeladnej, bo zasiadała wtedy z robotą którą zawsze nosiła z sobą i rozmawiała z gospodynią. Władzio lubił także króliki; łagodne te zwierzątka przybiegały do niego gdy tylko zawołał: truś truś, i brały z rąk jego listki sałaty lub kapusty, on zaś głaskał je, podnosił ostrożnie do góry te długie uszki, bo gospodyni powiedziała mu, że królika inaczej brać do rąk nie można, całował białe ich główki i rubinowe oczka, a w końcu tak się z nimi zaprzyjaźnił, że kiedy miał powracać do Warszawy płakał myśląc, że nie zobaczy ich więcej... Królików w mieście chować trudno bo one zwykle w izbie

gdzie niema podłogi kopią sobie nory i w nich mieszkają, więc choćby ciocia darowała mu chętnie kilka młodych, niewiedziałyby co z niemi zrobić?

— Mój Władku — mówiła mama — bądź rozsądnym jak przystało na czteroletniego chłopczyka; niepodobna mieć wszystko czego zapagniemy, pamiętaj zawsze że jest wiele dzieci, które nie miały nigdy ani jednej cząstki tych rozrywek jakie ty miewasz. Władzio był posłusznym i grzecznym, więc przeprosił mamę i wracał już wesoło do domu po skończonych wakacyach.

Kiedy zamieszkał napowrót w Warszawie, chodził codziennie z Jesionowską do saskiego ogrodu po ukończonych lekcyach z mamą. Milusia zawsze brał z sobą prowadząc go na różowej wstążeczce, która bardzo ładnie wyglądała przy jego długim popielatym futerku. Gdy Jesionowska usiadła z robotą na ławce, gonił się z Milusiem. Miluś niezmiernie lubił tę zabawę i biegł za nim szczekając wesoło, dopędzwszy go zaś, chwycił delikatnie za sukienkę, warcząc, szczerząc ząbki i udając zagniewanego. Minęła jesień i nadchodziła mroźna zima skończyły się zabawy w saskim ogrodzie, ale za to nadchodziły święta Bożego Narodzenia, gwiazdka dla grzecznych dzieci, a Władzio przecież był bardzo grzecznym. Święta zapowiadały się wesoło, ciocia z dziećmi swemi do Warszawy przyjechała i miała być na wigiliu u rodziców Władzia. Dzieci czekały niecierpliwie chwili wstania od stołu, bo wtedy odbierały zwykle przeznaczone sobie podarki gwiazdkowe. Jakoż skoro tylko po późnym obiedzie wszyscy przeszli do saloniku, uderzył ich tam niezwykły widok. Na środku stała wysoka choinka ubrana kolorowemi świeczkami, obwieszona różnemi i różnemi rzeczami. Wszystkie dzieci przysunęły się aby czytać karteczki z nazwiskami swemi przy których były przeznaczone dla nich dary. Młodsze dziewczynki



Pierwsza zaczepka.

miały strojne lalki, starsze książki, a jedna z siostrzyczek Władzia dostała nawet niewielką maszynkę do szycia. Dopieroż to było gwaru i wesela. Władek stał grzecznie z boku nie cisnąc się przed gośćmi do choinki.

— Czemuż nie wyszukujesz swojej karteczki Władku? rzekła uśmiechając się ciocia.

Władzio zarumienił się, bo wiedział że ta dobra cio-

cia pewno mu gotuje jakąś miłą niespodziankę. Jakoż ucieszył się niezmiernie jęj darem; był to śliczny królik biały z rubinowego koloru oczyma, choć wypchany wyglądał jakby żywy; pociągnąwszy za sznurek przytwierdzony do jego podstawy na kółkach, można go było prowadzić za sobą.

— Niemogłam ci darować żadnego z moich królików, chciałam aby ci się przypominały gdy się bawić będziesz z tym którego ci ofiaruję.

Władek aż podskoczył z radości:

— A mój Boże, jakiż on śliczny, zupełnie jak prawdziwy — zawołał, a potem rzucił się na szyję cioci dla której uciecha jego najmiłszą była nagrodą.

Od tego czasu królik zajął pierwsze miejsce wśród zabawek Władzia. Gdy nadeszła szara godzina wynagradzając sobie stracone spacery woził go po wszystkich pokojach. Miluś był z tego powodu trochę zaniedbany, daremnie zalecał się wspinając na dwóch łapkach i kręcąc ogonkiem, Władzio pogłaskał go tylko z niechęcią a sam bawił się dalej z królikiem. Po kilku dniach Miluś, który pomimo różnych zalet jakimi się odznaczał, miał też i wady, a mianowicie był bardzo zazdrosnym o łaski Władzia, począł patrzeć z niechęcią na królika, kilka razy nawet gonił go szczekając i byłby dobrze może nadzarpnął jego futerko, gdyby nie to, że Władzio czuwał nad nim baczenie zauważywszy tę niechęć. Co się odwlecze nie uciecze, pomyślał Miluś i począł upatrywać sposobności zostania sam na sam z królikiem.

Nastąpiła się ona niezadługo. Do mamy Władzia przyjechali goście ze wsi, którzy chcieli widzieć chłopczyka i jego siostrzyczki, dzieci więc zwykle pijące herbatę w swoim pokoju gdy był ktoś obcy, siedziały teraz z rodzicami w saloniku. Jesionowską wywołano do garderoby gdzie przyszła do niej w odwiedziny córka, Miluś więc sam został w dzieciennym pokoju. Przyskoczył żwawo do stolika na którym królik spoczywał obok piłki i dużej książki z obrazkami; spojrzawszy wpierw do koła aby się przekonać raz jeszcze czy niema nikogo, zaszczekał kilka razy, w mniemaniu że nienawistne mu zwierzątko odpowie na to wezwanie. Królik milczał wszakże z dobre wiadomych wam powodów, których nie pojmował wcale zazdrosny pinczerek.

Coś nakształt powątpiewania ogarnęło wtedy Milusia. Co to jest? Czyżby królik ten nie był naprawdę królikiem? Ale czemżeby był wtedy? Miluś jak widzicie nie miał wyobrażenia o sztuce naśladowania żywych zwierząt wypchanymi ich okazami.

— Czemżeby mógł być — myślał? Przecież ma takie puszyste futerko i takie rubinowe lśniące oczy jak króliki, które z daleka widywał na wsi. — No niema rady, trzeba się o tém przekonać... i szarpnął za serwetę pokrywającą stół na którym stały zabawki; stoczyła się najpierw piłka, a potem królik spadł z łoskotem i potoczył się na swych kółkach tak, że Miluś zawsze rozważny aż na bok uskoczył. Patrzył na niego ciekawie i szczekał, królik znów milczał. Nieświadomość sił nieprzyjacielskich zawsze wyradza pewną obawę. Miluś przeto lubo był u kresu życzeń swoich, zastanowił się trochę co począć dalej? Po chwili namysłu doszedł do wniosku,

w każdym razie honor nie pozwalał mu cofać się przed wypowiedzianą walką. Zebrawszy więc odwagę podskoczył w górę i odrazu schwycił za kark przeciwnika.

(d. c. n.)

PAMIĘĆ O MAMIE.

Nieprawdaż kochane dzieci,
Smutno, gdy mama odjedzie?
Przy niej, to czas ptakiem leci,
Bez niej, jak na raku jedzie.
Celinka wie doskonale,
Co to jest zostać bez mamy;
W każdej rzeczy jakieś *ale*,
I rady sobie nie damy.
Ni to z lalką się weselić,
Ni przysmaczkami się podzielić,
Ni pomodlić się we święta,
Ni poradzić się o zdrowie!
Ciągłe się o nią pamięta.
Celinka pyta z westchnieniem:
— Czy się mama o tém dowie?
Wtém na pomysł nowy wpada,
Za każdym mamy wspomnieniem,
Papierok na bok odkłada,
A zebrało się ich tyle,
Że dla mnie, moje dzieci,
Te papierki, jak motyle,
Z nich każdy do nieba leci!
A Bóg zachowa u siebie
Te drobne na pozór szmatki,
Ojcowską pamięcią w niebie
Płacąc za pamięć dla matki.

Gabryela Puzymina.

(ze zbioru: „Dzieci litewskie”).

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANĄ.

(Dalszy ciąg).

— Ach! złośliwy jesteś, mistrzu — mówił ^{Tioropu} ~~Zielony~~ zawstydzony — szydzisz ze mnie, bo wiesz dobrze, że one kotletów jeść nie mogą. Muszę ci się przyznać, iż z początku próbowałem rzeczywiście przyzwyczaić nawet woły i owce do mięsnych pokarmów; będziesz się śmiał ze mnie, ale naprawdę kazałem im siekać wyborne kotlety, a te niemądre bydłeta ani patrzeć na nie nie chciały.

— Ba! kto wie, czy to one są niemądre — mruknął półgłosem Abrakadabrus, a głośniej mówił — nie wiem tylko, miłościwy królewiczu, do czego by to doprowadziło, bo gdyby wszystkie twoje zwierzęta dały się przyzwyczaić do jadań mięsa, toby się wkrótce pożarzyły wzajemnie, możeby w końcu i dla ciebie samego pokarmu zabrakło.

— A to prawda — rzekł królewicz — nigdy mi to do głowy nie przyszło, podziwiam twoją mądrość, mistrzu.

Zawsze to jednak przykra rzecz, bo Zielonko naśmiewa się ze mnie, powiada, że on doskonale daje sobie radę bez moich zwierząt i w rzeczy samej prawie nic u mnie nie pożyczca, a ja... ale co to mówić, chodźmy lepiej na obiad.

Sala jadalna królewicza Pióropuszką wspaniale była przybrana, ściany obwieszane były trofeami myśliwskimi, jeleniami rogami, kłami dzików, główkami sarniami; Pióropuszek, pod pozorem, że wszystkie zwierzęta, żyjące na wyspie Atlantycie, do niego należą, polował nieustannie w ogromnych lasach Zielonki, a ten znów skarżył się na to, iż zwierzęta niszczą mu rośliny, sam zaś przez sumiennosc rzadko bardzo je łowił.

A jakiego to trzeba było dowcipu, żeby całą zastawę stołową urządzić bez użycia minerałów ani drzewa. Po środku stołu ustawione były ogromne rogi bawole, napełnione musującym kumysem i kefirem, bo Pióropuszek nie pijał wina, tylko te mleczne napoje, bardzo rzeczywiście smaczne i zdrowe. Naczynia do potraw były najrozmaitsze: piękne konchy, świecące blaskami tęczy, półmiski i talerze z szyldkretu, łyżki, widelce z kości słoniowej, noże rogowe, wszystko to bardzo ładnie wyglądało.

O potrawach nie potrzebujemy i mówić. Same mięsna, najrozmaitszymi sposobami przyrządzone, piętrzyły się na stole, ale rzeczywiście, jak trafnie przewidywał Abrakadabrus, brakło powszedniego chleba. Wszyscy trzej królewicze, jakkolwiek nierozsądni, byli jednakże sumienni, o ile tylko mogli, starali się dotrzymać szalonej swój umowy, to też Pióropuszek jadał same mięsne potrawy, tak samo jak Zielonko roślinne. Gdyby woły i owce chciały były jadać kotlety, gotów był Pióropuszek przyzwyczajać je do tego.

Gdy po obiedzie królewicz zasiadł z mistrzem wygodnie na sofie w salonie, ten zagaił rozmowę w te słowa:

— Nie taję przed tobą, miłościwy królewiczu, że przybyłem tu nie dla samej przyjemności obejrzenia wspaniałej twojej rezydencji. Ważna sprawa mię przywiodła.

— Ważna sprawa! O, mistrzu, czyżby król Dobromir chciał spełnić najgorętsze moje życzenia i zgodził się nareszcie oddać mi rękę cudnej królowny Perełki?

— Król Dobromir sprzyja ci bardzo, miłościwy królewiczu — mówił poważnie Abrakadabrus — sprzyja on także obu dostojnym twoim braciom i pobłogosławiłby z radością związek swych córek z trzema synami przyjaciela. Lecz pan mój, król Dobromir, jest człek wielce rozważny, a przecież pokłada we mnie wielkie zaufanie, więc kazał mi wprzód odwiedzić was wszystkich trzech, miłośni królewicze i przekonać się naocznie, czy w rezydencyach waszych panuje spokój i dobrobyt, czy ukochane jego córki będą tu szczęśliwe i nie doznają żadnego niedostatku. Wyznaję szczerze, że i ja także ciekawy byłem niezmiernie, jak też przy takiej umowie...

— Ach, mistrzu! — przerwał Pióropuszek — nie szczęśna ta umowa do rozpaczy mię przyprowadza. Ale sam powiedz, czy ja mogłem przewidzieć, że w żaden sposób nie potrafię się obejść bez roślin? Sam lubię niezmiernie mięsne potrawy, nigdy się nie ubieram w te nędzne lniane i bawełniane tkaniny, bo wołę jedwab

i weinę; jak widzisz, nawet i pyszny pałac sobie pobudowałem bez drzewa i bez kamienia. Cóż kiedy wszystkie zwierzęta najpożyteczniejsze, bez których obejść się nie mogę, potrzebują koniecznie pokarmów roślinnych.

— Dziwi mię to mocno, miłościwy królewiczu, że nie przewidziałeś rzeczy tak prostej. Królewicz Kryszałek, podpisując umowę, zapomniał zupełnie o tém, że ani człowiek ani zwierzę nie może się żywić minerałami: królewicz Zielonko, obiecując sobie królestwo roślin, nie zastanowił się, że roślina potrzebuje do życia minerałów; ty zaś, miłościwy królewiczu, sądziłeś, że posiadając królestwo zwierzęce, dasz sobie we wszystkiem radę, a tymczasem zwierzęta nie mogą żyć bez roślin, bo nawet i mięsożerne pożerają takie, które się żywią roślinami. Wilk chwyta owcę, a ponieważ owca je trawę, więc można powiedzieć, że i wilk bez trawy się obejść nie potrafi. Ty także, miłościwy królewiczu, jesteś mięsożerny, jak wilk, ubierasz się w weinę i jedwabie, lecz czemuż żyją woły, sarny, zające, bażanty, które podawano nam dziś na obiad, owce dostarczające ci pięknej wełny i jedwabniki, snujące delikatne oprzędy?

— Ach! mistrzu — odrzekł z westchnieniem Pióropuszek — wiem ja już teraz dobrze, czém one się żywią. Żeby dworzanie moi nie zabrali z łąk Zielonki dostatecznej ilości paszy, a z drzew jego nie zerwali liści morwowych, toby mi i bydło wyginęło do szczętu i jedwabników nie mógłbym się dochować. Okropne to dla mnie zmartwienie, bo chciałbym najserdeczniej umowy dotrzymać, a tu sposobu niema. Muszę rabować brata, czyni mnie to niewymownie nieszczęśliwym i nie dziwię się wcale, że król Dobromir nie chce, aby córka jego smutny ten los podzielała. Czuję, że muszę się wyrzec pięknej królowny Perełki.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Myszki polnej dla Myszki białej).

Pierwsze, gorąco do niewytrzymania,
Drugie, to rozkaz, by przestać gadania,
A trzecie z drugim u powozu bywa;
Wszystko stolica w Polsce się nazywa,
Pomni Zygmunta, lecz nie znała Bolka,
Zgadnijże, Myszko, jeśliś dobra Polka.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 29-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

A L E
L E W
E W A

Skrzynka do listów.

Świtezianka zastosowała się właśnie do prośby Kazia, dowiodła, że jest jego przyjaciółką, za co jej serdecznie w jego imieniu dziękujemy. Jakże to pięknie, że Świtezianka umie już być taką

pomocą Mamie; zawsze jej wdzięczni będziemy, ile razy wśród tych licznych i pożytecznych zajęć i dla nas wolną chwilę znajdzie. Kronika i Wieczory będą wysyłane.

Różyczka Biała z Wołynia śliczny użytek zrobiła z zarobionych pieniędzy. Zgartywanie siana, to wyborna robota, która jej pewnie zdrowia doda, a rubelek przysporzy znów zdrowia biednym dzieciom.

Wiosenka przekonała się, że to wcale nie trudno napisać do redakcyi i zapewne już teraz stałą korespondentką zostanie. Konkurs niezadługo będzie rozstrzygnięty.

Latawiec wybrał sobie pseudonym jednego z dawniejszych korespondentów, który jednak z powodu ważnych zajęć pisywać przestał, może więc śmiało ten pseudonym zachować. Bardzo to ładnie, że Latawiec w tym wieku już czytuje takie książeczki, jak „Wieczory Czwartkowe.”

Turkawka bardzo chwalebne uczyniła postanowienie, gdyby wszyscy nasi czytelnicy poszli za jej przykładem i wyrzekli się tylko zbytekownych przedmiotów na rzecz kolonii letnich, ileż to biednych dzieci mogłoby z tego skorzystać!

Wierzba z nad Wisły nie spostrzegła zapewne, że liścik jej był drukowany, nie wiemy, dlaczego Wiktorya Regia nie odpisała, może już nie czytuje „Wieczorów.” Jeżeli Wierzba nie potrafi skrajać ubrania lub koszulki, to może zrobić na konkurs jakąś robótkę drutową lub szydełkową.

Kukułce z nad Drwęcy donosimy, że robótki na konkurs muszą być koniecznie przysłane wprost do naszej redakcyi do Warszawy, nie sądzimy, aby to jakkolwiek trudne przedstawiało.

Chmurkę trzymamy za słowo i wyglądamy dłuższego liściku. Kazio bardzo jest wdzięczny wszystkim, którzy mu dowiedli przyjaźni, nadsyłając datki na kolonie letnie.

Okularnik tym razem doskonale ułożył łamigłówkę, a wybór nazwiska nic nie pozostawia do życzenia, będziemy się starali zamieścić ją jaknajprędzej. W tym czasie najstosowniej jest darek ofiarować na kolonie letnie.

Wróbel i Bekas nadesłali łamigłówkę, ale takąż sama niedawno była drukowana, trzeba coś nowego wymyśleć, kochane ptaki, bo takie mnóstwo łamigłówek nadchodzi, że tylko lepsze i mniej popularne mogą być drukowane.

Helunia S. z Libawy powinna częściej pisywać, byłaby to pożyteczna wprawa. Powieść „Prawdziwe Bogactwo” wyjdzie wkrótce w osobnej odbitce.

Pigułeczka nie ma wprawdzie bardzo ładnej kaligrafii, ale pisze starannie i czysto, może więc korespondować z nami. Datek nie jest wcale zbyt mały, oby takich jaknajwięcej nadechodziło.

Sokół czarny może śmiało prosić wujaszka, aby mu pomagał w układaniu łamigłówek, nigdy się za to nie gniewamy, tylko zadania konkursowe powinny być odrobione bez pomocy starszych. Żóraw zaś, przepisał drukowaną w „Przyjacielu” szaradę, i za to burę dostał, bo to wcale co innego. Sokół, jako pseudonym, pisać się musi przez duże S.

Róża czarna niesłusznie się wstydi za liścik, bo jest porządnie, a nawet ładną kaligrafią napisany. Co do łamigłówek, cierpliwości, Różyczko kochana.

Stokrotka z nad granicy trafnie odgadła łamigłówkę, datek zapisany jest niżej.

Szczebiotkę bardzo prosimy, aby dotrzymała słowa i napisała, co na wsi porabiać będzie.

Słomka w porę nadesłała swój datek, gdyż ubogie dzieci będą i drugi raz wysyłane na wieś, jak o tém donosiliśmy. Cieszymy się bardzo, że fotografia autorki Reginki taką radość sprawiła kochanej Słomeczce.

Czarnulka spóźniła się z nadesłaniem odpowiedzi na zadanie konkursowe. Co do łamigłówek, bardzo to nam przykro, Czarnulko kochana, ale niepodobna wszystkich nadsyłanych pomieścić, uczynimy jednak co będzie można.

Srocze z nad Bystrzycy przesyłamy serdecznego całuska za pieniążki, które zbierała, zrzekając się ulubionych jagódek. Poczciważ to bardzo ptaszyna z tej Sroczi, oby ją Bóg błogosławił. Nr żądany odesłany powtórnie.

Mewa z nad Bałtyku długo, aż dwa lata ociągała się z rozpoczęciem korespondencyi, trzebaż nam to teraz wynagrodzić częstymi liścikami, a niech kochana Mewa nie obawia się, aby nas znudziły. Robótkę na konkurs zawsze przysłać warto, bo choćby nie otrzymała nagrody, przyniesie jednak korzyść biednym dzieciom.

Prymulka biała także, jak widzimy, zadowolniona jest z Kazia i chce być do przyjaciółek jego zaliczona. Wiedział on dobrze, czém się najlepiej paniątkom przysłuży, wszystkie też ucieszone były fotografią autorki „Reginki.” Bo też przyznać muszą kochane czytelniczki, że w naszej redakcyi ciągle się myśli o ich przyjemności.

„Kochana Jutrzenko! Bardzo mi się twój pseudonym podobał, chciałabym się z tobą choć listownie zapoznać. Czekaj twój odpowiedzi z niecierpliwością Twoja Prymulka różowa.” (Jutrzenka już donosiła inną korespondentkę ile ma lat i jak się nazywa, przyp. red.).

Wybrednisi, Kalince, Prymulce białej przesyła pozdrowienia Prymulka różowa.

„Kochana Słomko! Prosiłam o adres twój „Wieczorów” ale redakcyja żadnych adresów nie podaje, więc za pośrednictwem naszego ulubionego Pisma przesyłam ci pozdrowienie serdeczne od siebie i od Ninki, Różyczka polna.”

P. Józefie Siemaszko. Historyi pośredniej pomiędzy tą którą posłałimy, a historyjami dla dzieci jak Zdanowicza i inne jeszcze dla dzieci mniejszych, o ile wiemy niema wcale.

Na kolonie letnie złożyli: Lilija z nad Horynki i Rybka z Horynia rs. 3 — Jaskółka z nad Wieprza rs. 1 — Gołąb' z nad Wieprza rs. 1. — Cyganeczka z nad Horynia kop. 50 — Amelcia W. kop. 25 — Gałązka Litewska i jej Mama Rs. 1 — Tygrys na kociół praski kop. 50.

Numer 14-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA :

Kartki z geografii fizycznej, Wacława Nalkowskiego — Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica (c. d.) — Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida (c. d.) — Nauka o rzeczach (Wyjątek z dzieła D-ra Garibela Compayré pod tytułem: Cours de Pedagogie théoretique et pratique, t. z franc.) (dokończenie), — Krytyka i biblijografija — Adam Bełcikowski. Ze studjów nad literaturą polską. Przegląd literatury zagranicznej.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

Leonii Rudzkiej

dawniej Herman.

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapewnia opiekę i konwersacyją obcych języków.

Zapis uczennic odbywać się będzie od 20 Sierpnia przy ul. Zielnej Nr 7 i Wielkiej Nr 42.

Waleryja Giewartowska

PRZEŁOŻONA ZAKŁADU NAUKOWEGO ŻEŃSKIEGO.

przy ulicy Ogrodowej Nr. 22/26.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie. Zapis uczennic po wakacjach, rozpocznie się 11/23 Sierpnia.